



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Miasto Tugurt w Algerze.

Miasto Tugurt w Algerze.

Już sam widok meczetu, o kopule zaokrąglonej, ponad którą świeci półksiężyc prawdziwy, nadaje widokowi, na rysunku naszym przedstawionemu, odrębne cechy wschodu. Dopełniają ich wielbłądy, zwierzę to każdemu zaraz na myśl przychodzi Arabów i Arabią. Wysoka, ciemna wieża, na której szczycie płonie ogień, jest to telegraf optyczny. W Algerze nie wszędzie jeszcze można było zaprowadzić telegrafy elektryczne, więc zastępują je optycznymi; na wieżach wysokich rozpalają płomienie, które przysyłają i odkrywają kolejno w taki sposób, że powstają ztąd znaki pewnego rodzaju, o znaczeniu umówionem.

Miasto Tugurt leży dość daleko w głębi kraju, otoczona piaszczystą pustynią, drogi, wiodące ztąd do innych większych miast algerskich, przechodzą przez piękne oazy, lecz także i przez rozległe równiny, tak całkowicie piaskiem usypane, że musiano tam stawiać w pewnych odstępach wieżyczki kamienne, jako drogowskazy, ażeby wędrowcy nie błądzili. A tem łatwiej zabłądzić na tych bezbrzeżnych równinach, że piaski zbierają się w nasypy ogromne, wydmy, jakby góry, lecz góry ruchome, wiatry bowiem nieustannie kształty ich zmieniają i przesuwają je z miejsca na miejsce.

Miasto Tugurt, zabudowane dość nędznie, domy ma niskie ceglane, a jedna dzielnica, i to najznacniejsza, urządzona jest w sposób szczególny; nie ma wcale ulic, mieszkania wszystkie łączą się z sobą krytymi przejściami, jakby galeryami, ponad którymi wznoszą się właściwe mieszkania. Dokoła miasta rozciąga się piękna oaza, zasadzona palmami daktylowemi, które obliczają na 170,000. Wiadomo, że daktyl stanowią główny produkt żywności i główne bogactwo mieszkańców tej krainy. Oaza Tugurtu mieści w swoim obrębie kilka pomniejszych wiosek, oprócz miasta.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

„Wódz w zielonym kaftanie wziął ze stołu kubek osobliwszy, którego Tatarzy używali wyłącznie do kumysu. Był to rodzaj bani o dwóch szyjkach; jedna z nich, krótsza, zatykała się śrubką, wiszącą na łańcuszku i służyła do wlewania mleka, przez drugą szyjkę, dłuższą, wypijało się napój. Koło szyjek był jeszcze rodzaj klapki bezpieczeństwa, która wypuszczała zbytnią ilość burzającej się piany. Banie te bywały zwykle drewniane, ale upstrzone złotem i srebrnymi ozdobami”.

„Wojownik skierował się ku Ludmile z kubkiem i chciał go do jej ust przyłożyć, mówiąc jakieś wyrazy uspokajające. Obchodził się z nią, jak ze zwierzątkiem, które człowiek chce obłaskawić. Kiedy psotne dzieci wyjmą pisklę z gniazdką, jeśli mają troszkę litości i nie chcą go oskubać, będą chciały niezawodnie nakarmić je i napoić. Pierwszym ich wykrzyknikiem są słowa: Biedny ptasio, pewno głodny! I gwałtem kładą jądło w dziobek nieszczęsnej ptaszyny, wcale nie zważając, że jej małe serce młotem uderza pod piórkami. Tak i tu Mongoł gwałtem chciał napoić brankę, sądząc, że tym dowodem łaskawości ujmie ją i rozbroi.”

„Ale ptaszyna była dzika, odwracała głowę ze wstrętem, ach! tem większym, że przed chwilą dostrzegła szyjkę tegoż kubka w ustach swojego karmiciela. Wyciągnąwszy obie ręce, odepchnęła go silnie. Wtedy ptasznik postawił ba-

nię na ławce i odjawszy żółtą jedwabną wstęgę od kołczanu, związał nią ręce Ludmiły, związał je lekko, jakby żartem, ale od swojej myśli nie odstąpił, znowu kubek do ust jej przytknął. Harda branka byłaby się dalej broniła przeciw niezdolnej gościnności, gdy Elżbieta rzekła do niej półgłosem:

„— Nie gniewaj go tak bardzo... on całował krzyż... może się zlituje... przynajmniej nad Jasiem...”

„Po swoim wzięciu w Witowie, Ludmiła okazywała się dla wrogów zawsze ponura i nieubłagana; ach! bo wtedy była sama jedna. Ale gdy jesteśmy w niewoli z ukochanemi osobami, ich obecność nieraz ubezwładnia nasz opór; obawa zaszkodzenia najdroższemu istotom skłania do wielu drobnych ustępstw. Ludmiła po słowach Elżbiety, mimo całej odrazy, przysunęła usta do kubka, i spróbowała napoju; ten jej się wydał przykry, odurzający, po kilku łyknięciach skinęła lekko głową, niby dziękując, a razem dając znak, że już dosyć. Mongoł śmiał się radośnie, jakby odniósł wielkie zwycięstwo, rozwiązał jej ręce i stojąc zawsze opodal, wpatrywał się w nią z uporem, który ją przemrażał do kości.”

Przytoczyliśmy ten ustęp, gdyż jest bardzo ważny dla zrozumienia dalszego ciągu, a na nieszcześnie musimy dłuższe opisy, jakkolwiek zajmujące, w skróceniu tylko podawać. Każdy domyśla się, że ów wódz w świetnym stroju, imieniem Ajdar, odrazu na Ludmiłę zwrócił uwagę, urocza branka wpadła mu w oko, ten barbarzyńca po swojemu jej to okazywał. Otrzymała też wyraźniejszy jeszcze dowód jego łaski. Wodzowie, uczujący przy stole, odkryli małego Jasia w objęciach nieszczęsnej Elżbiety; pochwycili go i bawili się ładnym dzieckiem, jak cackiem. Wziął go wreszcie na ręce ów Ajdar, lecz rozdrażnił czemś malca, a ten, zwyczajnie jak rozpieszczony jedynaczek, począł bić rączkami i nóżkami swego prześladowcę. Ajdar zniecierpliwiony podniósł biednego Jasia, chciał go rzucić o ścianę i roztrzaskać mu głowę, bo dla niego dziecko branki nie miało większej wartości od marnego np. szczeniątka. Elżbieta wykrzyknęła, pośliźnęła się na podłogę krwią zalaną i padła u stóp Mongoła; lecz Ludmiła nie straciła przytomności, poskoczyła, wyrwała z rąk jego dziecinę i rzuciła matce, a na Ajdara spojrzała tak błagalnie, że nie rozgniewał się za takie zuchwalstwo.

Ona, korzystając z tego, padła na kolana i rozdzierającym głosem prosiła dzikiego wodza, aby miał litość nad dzieckiem, a jej nie rozłączał z Elżbietą. Ajdar nie rozumiał mowy branki, przywołał więc sługę, umiającego trochę mówić jakimś mieszanem narzeczem słowiańskim; gdy ten mu wytłómaczył, o co szło pięknej brance, wydał mu polecenie, by się obu niewiastami opiekował. To też sługa ów związał dwie branki sznurem, ażeby ich nie rozłączono podczas długiego pochodu; chociaż srogość udawać musiał, raz ukradkiem szepnął im do ucha:

— Nieszcześnie! — zrobię dla was co będę mógł... cóż, kiedy niewiele mogę...

Zdziwione, nic więcej tym razem dowiedzieć się od niego nie mogły, a pewnego ranku o świcie tłum brańców i branek w otoczeniu Tatarów wyruszył na wschód, do odalonych, nieznaną nieprzyjacielskiej krainy.

„Przejście Tatarów przez Iłżę i kraj okoliczny było najstraszniejszym ze wszystkich zniszczeń, o jakich nasze dzieje wspominają; tak straszne, że mimo wielu późniejszych napadów tatarskich, mimo wojen szwedzkich, tureckich i tylu innych, lud tamtejszy do dziś dnia pamięta owych pierwszych najeźdźców, do dziś dnia ich drogę nazywa Czarnym szlakiem Batego.”

Gdy wiosną roku 1241 pielgrzym, gościnie podejmowany na zamku w Zegnańcu, przechodził znów tą samą okolicą, zamiast zamków bogatych, ludnych wiosek i pól kwitnących, zastał wszędzie spustoszenie, zgłiszczę i pustki. Smutek go ogarnął, westchnął ciężko, zastanawiając się nad znikomością pomyślności tego świata i przypominając sobie owe młode kasztelanki, rzekł żałośnie:

— Mój róża jerychońska nie przyniosła im szczęścia! Na tem się kończy tom pierwszy.

W drugiej części tego pięknego opowiadania przenosimy się na Wschód wraz z gromadą brańców i brankę, pędzonych przez hordę tatarską. Elżbieta i Ludmiła doznały w nieszczęściu swoim tej jedynej pociechy, że ich nie rozłączono, a stało się to za sprawą owego wodza w zielonym kaftanie, behadyra Ajdara. Podczas pochodu zbliżyły się ze sługą, który z jego rozkazu sznurem je związał razem. Zwał się Wasynga, był Chazarem, wziętym w niewolę z małą córeczką Dżyafirką. Chazarowie, naród mało znany w dziejach świata, wyznawali religiję chrześcijańską, pomieszczaną wprawdzie z zabobonami, lecz zawsze Wasynga z tego powodu sprzyjał chrześcijańskim niewolnikom. Zmuszony był jednak pastwić się nad nimi, spełniać obowiązki dozorczy a nawet często oprawcy, gdyż za najłżejszym oporem grożono mu zamęceniem ukochanej córeczki Dżyafirki.

Rozłożono wreszcie obóz na dłuższy wypoczynek nad rzeką Prutem i tu błysnął dla jeńców ostatni promień nadziei. Za Prutem rozciągał się kraj wolny, gdzie ustawało straszne gospodarstwo Mongołów, można tu było pomyśleć o ucieczce. Nasze branki potrafiły nakłonić Wasyngę, aby wraz z niemi i córeczką swoją próbował umknąć z obozu. Chciwy Chazar dał się znieść obietnicą sutęj nagrody, zaczęto robić przygotowania, nadzieja wstąpiła w serca nieszczęśliwych niewiast. Lecz przedsięwzięcie napotkało straszliwe przeszkody. Tu właśnie do obozu nad Prutem miał zjechać Kajkuł, urzędnik wielkiego chana i wybrać dla niego część przedniejszą zdobyczy i wojennych brańców. Ajdar chciał się podzielić łupem, zdobytym w podziemiach ilżeckiego zamku, z bratem Toktyszem, dla siebie zabrać Ludmiłę, która mu w oko wpadła, a brata namawiał, by Elżbietę wziął za niańkę do małego synka i Jasia przy niej zostawił. Nie mógł jednak ostatecznie się z tem załatwić przed przybyciem chańskiego poborcy. Posłuchajmy barwnego opowiadania autorki.

Straszny dzień.

Ale nim noc zapadła, zaszły wielkie wypadki. W samo południe powstał zgłęb pomiędzy jeńcami, powtarzano:

— Już idzie, już idzie!

Stráže biegały, wywlekały z namiotów kobiety i dzieci, potem z wielkiem trzaskaniem nahajek ustawiono je rzędami. Mężczyźni stali osobno. Wasynga wpadł do naszych brank z twarzą pozieleniałą i głosem ochrypłym od strachu wyrzekł:

— Zgubieni jesteście, Kajkuł idzie.

Popchnięte przez Wasyngę, wyszły przed namiot i stanęły, sukniami swemi zakrywając Jasia; Bóg im udzielił taką dziwną łaskę, że w owę chwilę przestały myśleć. Przez ulice, wyciągnięte między namiotami, jechali konno wodzowie, śpieszący, aby zbierać resztki z chańskiego stołu. Wasynga szepnął:

— Patrzcie, oto jedzie ku nam Ajdar, przy nim brat jego Toktysz z małżonką swoją Arguną, a tuż przy nich Szaman. (Rodzaj kapłana czarownika.)

Istotnie Behadyr Ajdar jechał z blaskiem i chrzęstem prosto ku naszym niewiastom. Za nim ów niższy wojownik w czerwonym kaftanie, wedle objaśnień Wasyngi, starszy brat Ajdara. Przed namiotem zsiadli i zaczęli żywą rozmowę. Zsiadła i Arguna, niewiasta sucha i żółta, odziana długim chałatem ze pstrąg chińskiej tkaniny, dźwigająca na głowie kołpak wysoki, jak wieżyczka, z całym lasem pióropuszków zatkniętych u wierzchu.

Najdziwniejszą osobistością w tem gronie był ów towarzysz, którego Wasynga nazwał „Szamanem”, taki dziwny, że naszym brankom zaćmiło się w oczach, jakby już zobaczyły przedśmiertne straszidło. Szaman był wsunięty w rodzaj pochwy skórzanej, szklącej się od błyskotliwych połysków, naszytęj brzękadłami i tysiącami strzępami jakichś włochatych piór czy grzywek, co za każdym jego ruchem powiewały tak lekko, jakby już, już, miały go unieść w powietrze. W rękę trzymał płaski bębenek.

(d. c. n.)

CZY WIOSNA WRÓCI?

Czy jeszcze, zimo ciężka, trwać będziesz długo,
Że śnieżne chmury ciągną szarawą smugą?
Czyście wymarły w locie, bociany moje,
Ze darmo patrząc za wami, w progu mym stoję?

Czy nie zejdziecie nigdy, trawki wiosenne?
Czy ci promienia zbrakło, słoneczko senne?
Czy jeszcze zima ciężka trwać będzie długo,
Że śnieżne chmury ciągną szarawą smugą?

Czy jeszcze długo nie pękną z lodu okowy,
Wiążące rzeki zmarznięty nurt szafirowy?
Czy jeszcze długo zastygłych strumieni fale
Pod twardą łuską walczyć będą wytrwale?

Czy kiedy lodu skorupę z własnego łoża
Zepchną na północ daleko w zmarznięte morza?...
Czy jeszcze zima ciężka trwać będzie długo,
Że śnieżne chmury ciągną szarawą smugą?..

Gabryela Jasieńska.

LISTY Z PODRÓŻY.

Bolonia 15 Lutego.

Kochana siostrzyczko!

Nie uwierzysz, jak mi smutno było odejżdżając, gdyż myśl, że cię opuszczam na długie dwa miesiące, że nie będziesz mogła ze mną się cieszyć widokiem wszystkich piękności natury i sztuki, które ja oglądać będę, psuła mi radość własnego wyjazdu. Prosiłaś mnie, abym w listach szczegółowo opisywała wrażenia podróży; chcę zadość uczynić życzeniu, lecz biorąc pióro do ręki, pytam się sama siebie, czy potrafię opisać tobie cuda widziane tak, abyś choć słabe wyobrażenie o nich miała?

Podróż do Wiednia odbyła się szczęśliwie; wyjechawszy z Warszawy o dziesiątej wieczór, jak tylko pociąg ruszył ułożyliśmy się do snu. Ruch kolei tak mnie ukołysał, że dopiero nazajutrz rano obudził mnie szwargot niemiecki, zewsząd słyszeć się dający: byliśmy już na Morawach. Zaraz rzuciłam się do okna, aby się przekonać, czy też kraj tu inny, jak u nas; lecz śnieg, leżący na ziemi, drzewa огоłocone z liści, parobczaki w kożuszkach, wiozący kartofle, aleje topolowe, a tu i owdzie chata słomą pokryta, przypominały mi ukochane Podlasie; muszę jednak przyznać z żalem, że wsie i miasteczka o wiele schludniejsze niż nasze, dużo widać domów murowanych, a każda chata otoczona ogrodem ładniejszą się wydaje. Gór tu jeszcze nie ma, lecz kraj falowały, a w połowie drogi między granicą a Wiedniem pokazyują się na wschodniej stronie dość wysokie wzgórza, na szczytach których ujrzałam kilka zwalisk starych zamków. Przejechaliśmy sławne Wagram, a o piątej po południu już byliśmy w Wiedniu.

Zaraz na wstępie uderzyła mnie stacya kolei Północnej, o wiele wspanialsza od naszych; same miasto mile na mnie sprawiło wrażenie, mieszkańcy jego tacy grzeczni, na ulicy każdy wygląda, jakby się śpieszył, nawet psy nie próżnują i na swój sposób pracują, ciągnąc wózki z nabiąłem lub jarzynami; z początku widok ten oburzył mnie, gdyż jestem wielką przyjaciółką tych zwierząt, przekonałam się jednak, że ich właściciele łagodnie się z niemi obchodzą. a właściwie, dlaczegożby psy miały być wyjęte z pod ogólnego prawa, obowiązującego każde stworzenie do pracy?

Za krótko mieliśmy bawić w Wiedniu, aby myśleć o zwiedzaniu galerij obrazów lub muzeów, zaledwie czasu nam wystarczyło na obejrzenie kościoła Św. Stefana i Burgu. Piękny ten kościół, budowany w najczystszy stylu go-

tyckim, wielkie na mnie wywarł wrażenie, ślicznie się iskrzył w blasku słonecznym dach z kolorowej dachówki, a cienkie wieżyczki zdawały się chmur sięgać. Lecz zauważyłam z przyjemnością i z pewnym rodzajem dumy, że ambona w katedrze piękniejsza i więcej zastosowana do stylu kościoła. Burg, czyli pałac cesarski, tworzy kwadrat z dwiema bramami; jest to bardzo stara budowla, jak to znać po murach, na których czas zostawił swe ślady; zdawałoby się, że to więzienie lub koszary, tak posępnie i surowo wygląda. Z nowszych budowli uderzyły mnie: Uniwersytet, dwa Muzea, Izba Poselska i śliczny *Votiv-Kirche*.

Po dwudniowym pobycie wyruszyliśmy z Wiednia po ciągiem kolei południowej o 7-ej godzinie rano, nie chcąc nic tracić z pięknych widoków, które nam przejazd *Sömmeringu* obiecywał. Od samego Wiednia poczynają się małe wzgórza, najprzód oddalone od siebie, które niedługo zbliżają się i tworzą góry coraz wyższe, coraz piękniejsze, te się schodzą, ściśniętą, tak, że z przodu, z tyłu i po bokach widać tylko góry, same góry. Wtedy widoki następują po sobie z wielką szybkością, tu przepaść, tam dolina, w której się świecą czerwone dachy jakiegoś miasteczka, tam dalej skała prostopadła, jak mur, wryta w najdziwniejszy sposób, tu znów góra śniegiem pokryta. Na wielu górach widać było zwaliska zamku średniowiecznego, lub stariej wieży, to znów jakiś klasztor opuszczony, lub schludny kościółek.

A kolęj coraz się wznoś, wspiną na góry, wije się na wszystkie strony; tu prosto idzie, tam się obraca, jak wąż, pół koła zatacza, obchodzi góry, okręca je swemi pierścieniami; za pomocą wiaduku unosi się nad przepaścią, lub wpada z łoskotem w otwartą paszczę tunelu, i znów z niego wychodzi, wypuszczając parę, która przeszkadza przez chwilę podróżnikowi cieszyć się wspaniałym widokiem. Czasem wieś lub miasteczko, przez które przejeżdżaliśmy, widzimy po dziesięciu minutach, ale już o kilkaset metrów pod nami w dolinie. Koło dziesiątej rano przyjechaliśmy na stację *Sämmering*; dzień był śliczny, jasny i mroźny, śnieg pokrywał okolicę i często nawet spotykaliśmy sanie jednokonne, z którymi przyjdzie mi się zapewne pożegnać na tę zimę.

Tak było aż do *Leoben*, gdzie nastąpiło przesilenie, góry się zmniejszały, kolęj opuszczała wysokie strony, na które się była wzniosła. Znużeni ciąglem stanieniem i oglądaniem, uczuliśmy potrzebę pokrzepienia się jakimkolwiek posiłkiem. Lecz widocznie właściciel bufetu w *San-Michael* rachuje na to, że podróżnicy nasyceni będą widokami natury, gdyż bardzo lichą ofiaruje im strawę. Po południu wjechaliśmy w odnogę Alp *Karyntyjskich*; nie były to już góry pochyłe, lasem pokryte, lecz skały granitowe, dzikie, nagie, bez żadnej roślinności, u stóp ich płynął różnokolorowy potok. Nigdzie tu nie było wsi ani miast, nigdzie tu ręka ludzka nie ułagodziła ostrych rysów natury; lecz natura ta w samej swjej dzikości jest przepyszną. Czarujący był zachód słońca, które się chowało za góry, rzucając ostatnie blaski na ziemię, którą ciemności pomału ogarniały.

Wtem obili się o nasze uszy dźwięki włoskiej mowy; byliśmy już we Włoszech, w tym kraju, o którym tyle słyszałam i marzyłam! Muszę jednak przyznać, że zaraz na wstępie doznałam rozczarowania, gdyż w *Pontebie* uderzyły mnie nieporządek, brud, i chciwość Włochów, którzy jak widzę, nie są wcale idealnym narodem. Śnieg, choć cienką warstwą, pokrył ziemię i przykrego doznał się uczucia, wchodząc do wagonu nieopalanego. Koniec podróży przeszedł nam drzemką, w *Bolonii* z radością powitaliśmy w hotelu ogień kominkowy, lecz herbaty nie chciano nam dać z powodu spóźnionej pory, 2-giej po północy.

(d. n.)

NA RUSI.

Wszyscy zapewne znacie tak zwane pisanki, czyli jajka zabarwione różnokolorowo na *Wielkanoc*; bawiliście się nie-

raz niemi w dzieciństwie, ale nie wszyscy może wiecie, iż zwyczaj ten panuje głównie na Rusi. Zamieszkując niegdyś jedną z okolic tej krainy, byliśmy w bliższej ze zwyczajami tamecznemi styczności. Okolica ta, dotykająca *Bukowiny* i *Węgier*, jest jedną z najżyźniejszych w części swjej dolnej, upiększona w górnej szczytami *Czarnohory*. Mężczyźni w okolicach *Czortowca* i *Horodenki* noszą na koszuli z płótna zgrzebnego z kołnierzykiem włóczką wyszywany *serdak* z sukna z czarnej wełny własnych owiec, bez fałdów i szwów kolorowych; guziczki zapinane są na pętliczki; wdziwiają to na rękawy, lub zarzucają tylko na plecy. Na zimę kładą kożuch ze skóry baranięj na biało wyprawnej. Spodnie noszą w zimie białe sukienne, latem płóciennie; buty z długimi cholewami; kapelusz słomiany szerokoskrzydły, przystrojony u parobków pawiami piórkami i gierdanami t. j. plecionkami z drobnych paciorków. W zimie noszą czapki wysokie z czarnego baranka, lub mniejsze z kłapami na uszy. Koszula ściągnięta pasem skórzanym. Przez ramię, przewieszona na czerwonym włóczkowym pasie, torba z tejże włóczki, zwana *dziobeńka*.

Kobiety zamężne noszą *serdaki* i kożuchy takie, jak mężkie. Koszule ich płóciennie z szerokimi rękawami mają na ramionach tak zwane wstawki, wyszycia włóczką w różnokolorowe desenie, z których każdy ma nazwę od przedmiotu, jaki ma wyobrażać. Pod wstawkami bywają niekiedy aż do dołu rękawa włóczkowe narzutki w gwiazdki, kółka, zwykle czerwone lub czarne. Na koszulę kładą zamiast spódnicy fartuch, jakoby prześcieradło z wełny farbowanej w czarne i czerwone paski i kratki. Opasuje go po wierzchu *okrajka* wełniana, która podtrzymuje zarazem i mały fartuszek, zwany *zapaską*, z czarnej i czerwonej wełny tkany. W dni uroczyste, zamiast zwykłych butów, wkładają majętniejsze kobiety żółte lub czerwone z safranu, a miejsce owego ogromnego fartucha zastępuje suknia szyta granatowa, z galonem srebrnym lub złotym u dołu, zwana *rantuchem*. Na szyi noszą paciorki szklane i korale sztuczne w kilka rzędów. Głowę mężatki obwija długi niby ręcznik, zwany *peremitką* z białego płótna z wyszyciem z tyłu, zachodzący aż pod brodę, pod tem leży ciepiec na *kicze*, czyli obręczy włóczkowej, z włosami spleciony.

Ubiór dziewcząt podobny do ubioru mężatek, z tą tylko różnicą, że miejsce *peremitki* zajmują u nich warkocze czyli *kosy*, w które wplecioną jest czerwona, zmieszana niekiedy z żółtą lub zieloną włóczka, w pukle spadające na plecy, a które na głowie przepasuje *gierdan* czyli wstęga z czerwonej włóczki. Na szyi zwieszają się w kilka rzędów gęsto paciorki, białe, czerwone, żółte i czarne, nierównie sucieć niż u mężatek przystrojone. Za warkocze powtykane są kwiatki, naturalne lub sztuczne.

Chaty włóscian w ogóle na Rusi z wielką budowane są prostotą. Stawiają je między czterema słupami, sochami dębowemi do 4 łokci wysokości; na sochach zaciągają płatwy, a na tych wiążą krokwie dachowe, czyli koźły; sochy przymocowane są do płatew *bantyniami*. Ściany stanowią koły, lub tyki, białe prostopadłe do ziemi i grodzone *walkami* czyli wiechciami słomianemi, nasycyonami gliną, lub gęstym błotem, które w miarę ich układania gładzą się i równają ręką, i gdy wyschną, smarują się na zewnątrz tłustą gliną żółtą, a następnie podciągają wapnem. Chaty stoją frontem lub bokiem do ulicy, od której oddziela je płot na parę łokci wysoki, złożony z kołów laskowych i pręcia, którego wierzch tworzy niby daszek jego ochronny. Dachy chat grubo słomą kryte bywają.

Wnętrze chaty dzieli się zwykle na trzy części. Środek zajmuje sieni, z której po prawej stronie idą drzwi do izby. Izba i komora mają u góry powałę, czyli ściel; sieni jej nie ma, by dym, wychodzący z kałły piecowej, mógł się pod dachem rozprzestrzenić, nim otworami wydostanie się na zewnątrz. Dla podtrzymania ścieli, podciągnięta jest pod nią w izbie belka poprzeczna, zwana *swołok*, na której wyżłobiony bywa krzyż wraz z datą postawienia chaty. Do sieni prowadzą z zewnątrz drzwi z *zamkiem* drewnianym, otwierają-



Pisanki.

ne i zamykane drewnianym także kluczem. W izbie są dwa okienka, zwrócone na południe. Przy wyjściu obok drzwi stoi szafa z półkami na miski (zamysnyk). Są i inne półki na garnki, na chleb, na drobne naczynia z solą, święconą wodą jordańską i t. p.

Wzdłuż ściany południowej i wschodniej ciągną się dwie długie ławy, na których sypia młodzież z rodziny.

Przed niemi umieszczony jest stół, lub duża skrzynia malowana, z blatem na wierzchu. Na środkowej wschodniej ścianie nad ławą powieszane obrazy świętych, a głównie św. Mikołaja i Matki Boskiej. Przy trzeciej ścianie północnej stoi duży tapczan (postel) przykryty kocem, a nad nim pawilon z żerdek do zawieszania odzieży. U bogatszych znajdują się pierzyny i poduszki. Po lewej ręce od wejścia usadowił

się piec piekarski z obszernym przypieckiem i kominem, od którego idzie do sieni kahl, dym z chaty wyprowadzająca.

Na tym to kominie corocznie w czasie Wielkiejnocy odbywa się długa i skomplikowana manipulacja z jajami. Pisanki malowane są przez kobiety w następujący sposób. Najprzód na białem jaju robią one kreski woskiem, na miejscach, które mają pozostać białemi. Potem wrzucają jajo w odwar kory z jabłoni, nadający jaju barwę żółtą, służącą mu za tło, bez której to operacji żaden inny kolor jajaby się nie chwycił. Po wyjęciu jaja z odwaru, nakładają znów kreski woskiem na owe tło i rzucają jajo powtórnie w ciecz czerwono zafarbowaną. Nakładanie kresek robi się narzędziem z blaszki, osadzonej w trzonek drewniany. Pisanka, gdy ją po raz trzeci wrzuca w ciecz, barwy najczęściej czarnej, a tembardziej, gdy dodadzą parę innych jeszcze barw, nazywa się *muczeną*, *męczoną*. Pisanki posiadają nazwy odpowiednie rysunkom, jakie się na ich skorupie znajdują. Oto są nazwy części tych rysunków, które zdają się nam choć trochę podobniejsze do tego, co przedstawiać mają, odnośnie do załączanego drzeworytu: Nr. 25 gwoździki; 26 podłużna róża, 27 grzebienie, 28 grabie, 29 ślimaki, 30 baranie rogi, 31 winny listek, 32 bukiet, 33 kwiatki, 34 zwita wstęga, 35 malowane rękawy, 36 kurze łapy, 37 gęsie łapy, 38 kacze szyjki, 39 zajęce słuchy, 40 sakwy, 41 sakwy z łapkami, 42 *ławryki* (nie mogliśmy się dowiedzieć nigdy, co to ma znaczyć) 43 parasole, 44 i 35 sosna, 46 sosna mała, 47 ogórek, 48 wąż.

Jakkolwiek niektóre z wymienionych tu nazw i rysunków powtarzają się dosyć często, przecież każda wieś posiada obok tamtych właściwe sobie rysunki i nazwy.

M. Ziel.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Wtem wątek myśli jego przerwało nowe gwizdnięcie, lecz trochę odmienne, dziwne, a odezwało się niedaleko, tuż przed nim, tym razem Jurek rozpoznał bez żadnej trudności, i kierunek odgłosu, i odległość; to też zmiarkował odrazu, że to zły znak.

— Nie sędzę, aby to był który z chłopców — rzekł sam do siebie, zatrzymując się i nasłuchując uważnie — a jeśli nie oni, to cóż to może znaczyć?

Nie potrzebował nasz Jurek długo sobie nad tą zagadką łamać głowy; nim zdolał ochłonąć z pierwszego wrażenia, drugie, gwałtowniejsze jeszcze, wstrząsnęło nim od stóp do głowy, bo z za pnia ogromnego drzewa wysunęła się głowa tegoż samego Indyanina, którego chłopiec widział niedawno i który go był wyprzedził. Wojownik czerwonoskóry stał zaczajony za drzewem, w rękę trzymał strzelbę i lufę jej widocznie kierował w stronę chłopaka. Czy zamierzał strzelić do niego, jak do jelenia, czy tylko zmuszał do natychmiastowego poddania się, tego Jurek odgadnąć nie mógł. Widząc jednak, że już jest odkryty, a udawanie na nic się nie przyda, przeskoczył zreźnie do pobliskiego drzewa i stając także za pnem, zawołał:

— Mam i ja strzelbę, bronić się potrafię!

W tejsz samej chwili uszu jego doleciał raz jeszcze ów gwizd tajemniczy, nie wydał go jednak Indyanin, naprzeciw chłopca za pnem stojący, odgłos odzywał się za nim od tyłu, z pobliskiej gęstwiny. Jurek odwrócił się w tę stronę, mimowolnym wiedziony popędem i obaczył o kilkanaście kroków odległości drugiego Indyanina, uzbrojonego w łuk i strzały. Ten stał zupełnie odsłonięty, nie ukrywał się przed strzelbą chłopaka, lecz trzymał w rękę łuk nacią-

gnięty, w pogotowiu, jakby chciał tem dać poznać, że strzała jego w każdej chwili kulę przeciwnika uprzedzić potrafi. Tym sposobem biedny nasz Jurek wzięty był we dwa ognie, jednego nieprzyjaciela miał przed sobą, drugiego z tyłu, a pień drzewa wcale go nie chronił przed niebezpieczeństwem. I broń nabita na nic mu się przydać nie mogła, gdyby nawet pokonał jednego, drugi miał go w swą moc.

— Niema już dla mnie żadnego ratunku — pomyślał chłopiec z rozpaczą w sercu, śledząc błędnie oczyma ruchy obu Indyan, którzy wolnym krokiem zbliżali się do niego z dwóch stron przeciwnych. Nie chcąc pobudzać zawiści swych prześladowców, Jurek opuścił lufę swą strzelby ku ziemi i wsparty na kolbie czekał na nich spokojnie, nie próbując, ani ukrywać się ani uciekać.

Oni to widocznie z zadowoleniem zauważyli, i ten, który miał strzelbę, także ją ku ziemi opuścił, drugi łuk swój zarzucił na plecy, pomimo to bacznie obaj spoglądali na niego z dwóch stron przeciwnych. Nie chcąc pobudzać zawiści swych prześladowców, Jurek opuścił lufę swą strzelby ku ziemi i wsparty na kolbie czekał na nich spokojnie, nie próbując, ani ukrywać się ani uciekać.

— To muszą być wojownicy z orszaku tego Hua-awamy — myślał chłopak — kto wie, może to on sam z tym łukiem ogromnym. Ten Indyanin dość podobny do opisu Janka. Radbym bardzo, żeby to on był naprawdę, bo jeżeli dla Janka miał tyle wspaniałomyślności, to czemużby ze mną nie obszedł się podobnie? W każdym razie niema tu dla mnie innej rady, tylko polecić się Panu Bogu. On mnie nie opuści, tak jak mnie strzegł od dzieciństwa i od tyłu niebezpieczeństw uchronił, tak i teraz Opatrzność Jego mnie uratuje.

Pierwszą czynnością Indyanina z łukiem było odebranie Jurkowi strzelby. O róg z prochem i torbę z kulami nie troszczył się na razie, sędził zapewne, że mając w rękę właściciela tych skarbów, w każdej chwili będzie mógł je sobie przywłaszczyć. Może też dla tego strzelbę zabrał nie odkładając, że była nabita, szło mu więc o to, by chłopca rozbroić i uczynić nieszkodliwym.

Jurek spojrzał uważnie na Indyanina, oddając mu strzelbę, porównywał go znów w myśli z opowiadaniem Janka o wodzu Wyandotów i zapytał wreszcie:

— Czy jesteś wodzem Hua-awa-omą?

Tamten spojrzał na niego z podziwieniem, nic nie odpowiedział, a gdy chłopak powtórzył zapytanie, pokręcił głową na znak zaprzeczenia. Nie był Hua-awa-omą i nie rozumiał wcale angielskiego języka.

I drugi także nie wdawał się w żadną rozmowę z chłopakiem, lecz dotykając jego ramienia, wskazał w stronę obozu i w języku własnym wykrzyknął wyraz jakiś, który miał znaczyć toż samo, co „marsz”. Jurek nie stawiał najmniejszego oporu, poszedł natychmiast z uległością za Indyaninem, który postępował naprzód, wskazując drogę; drugi szedł z tyłu, tworzyli obaj straż dostateczną dla najsilniejszego jeńca, biedny nasz chłopak nie mógł nawet marzyć o ucieczce.

XV.

Nowi przybysze.

Zostawiliśmy Wilusia Burtona w obozie czerwonoskórych, wspomnieliśmy, iż niespodziewany wypadek przerwał spokojną rozmowę jego z Indyanami i wywarł na nim gwałtowne wrażenie. Wypadkiem tym było właśnie przybycie Jurka pod strażą dwóch drabów, którzy go w lesie pochwycili. Pojmujecie zapewne, jak bolesnym było dla obu braci to spotkanie wśród podobnych okoliczności.

— Jakim sposobem dostałeś się tutaj? — spytał nowo przybyły młodszego brata, siadając obok niego na kłodzie drzewnej.

— Wyśledził mnie jeden z tych łotrów, gdym się za-

kradał pod obóz — odrzekł Wiluś, z trudnością powstrzymując łzy, które go dławily — sądziłem, że na tem się skończy, że wy przynajmniej obaj z Jankiem obronną ręką wyjdziecie...

— Na mnie to spadło, jak piorun — mówił Jurek, a twarz jego pokryła się nagłą bladością — Bóg jeden wie, co nas czeka, jesteśmy w rękach okrutnych, niemiłosiernych wrogów.

Wiluś westchnął z cicha. Podczas gdy dwaj bracia rozmawiali półgłosem, Indianie naradzali się gwarnie pomiędzy sobą. Porwanie młodych jeńców i postanowienia, dotyczące się ich losu, musiały być przedmiotem tej narady, gdyż Wyandoci często spoglądali w stronę, gdzie chłopcy siedzieli i jawnie niekiedy wskazywali na nich z wyrazem tryumfu i szyderstwa. Nie rozdzielili ich jednak, pozwolili im siedzieć przy sobie i rozmawiać. Wszyscy ci Indianie byli uzbrowieni, jedni w ogromne łuki i pęki strzał, a niektórzy w porządne strzelby.

— Ciekawa rzecz, co się dzieje z Jankiem? — odezwał się Wiluś po chwili milczenia — czy i on także wpadnie w szpony tych oprawców?

— Nie dziwiłbym się temu wcale — odparł Jurek — nieroztropnieśmy postąpili z tem hasłem, ono to mnie zdradziło, chytry Indianin posłyszał je, wyprowadził mnie w pole, jak dudka, powtarzając gwizdanie i z łatwością wyszedł. Janek musiał także posłyszeć i jeżeli odpowiedział a zdaje mi się, że i jego gwizdanie odzywało się gdzieś w oddaleniu, to nie ukryje się przed tymi hultajami. Oni tu widocznie ogromną gromadą włóczą się po lesie, w obozie i teraz pewnie część tylko się zebrała, reszta może poluje na Janka...

— Jak myślisz, co oni z nami zrobią?

— Czy ja wiem? — szepnął Jurek, wzruszając ramionami — może nas przynajmniej nie zamordują, bo i cóżby im z tego przyszło?

— Choćby nas wypuścili, z pewnością strzelb nam nie oddadzą.

— To nie ulega wątpliwości. Przykra to rzecz, bardzo przykra, ale wolałbym strzelbę utracić, niż życie.

— Ba! — westchnął Wiluś — wątpię, ażeby nas o to pytali; niewiele oni sobie robią z ludzkiego życia, gotowi nas zarznąć tak obojętnie, jak parę wiewiórek lub zajęcy. Cała nadzieja w Janku, jeżeli wyjdzie cało z tej przygody, to przecież odgadnie, nie doczekawszy się nas na umówionem stanowisku, na wierzchołku wzgórza, żeśmy wpadli w ręce czerwonoskórych i pobiegnie dać znać do domu. Ojciec nas przecież nie opuści, zbiorą się okoliczni osadnicy i przyjdą nam w pomoc.

Jurek pokręcił głową z powątpiewaniem.

— To bardzo niepewna nadzieja — mówił — wiesz, z jaką chyżością Indianie wędrują wśród puszczy; nim ojciec zbierze przyjaciół, nim w pogoń za nami wyruszą, Wyandoci uprowadzą nas daleko.

(d. c. n.)

GRY TOWARZYSKIE.

Wizerunki. Nie wyobrażajcie sobie, że do tej gry potrzeba umieć rysować albo malować; wizerunki te określają się słowami. Jedna z osób grających wychodzi do drugiego pokoju, pozostali wybierają nazwisko, czy to sławnego męża z historyi, czy uczonego, poety, czy zresztą kogoś ze znajomych. Umówiwszy się, dają znać temu, kto ma odgadywać, ten wchodzi i kolejno wszystkim zadaje pytania, na które każdy powinien odpowiedzieć tylko *tak* lub *nie*. Najlepiej to zrozumiecie, gdy przytoczymy parę przykładów. W pewnym domu niedawno wesołe gronko młodzieży zabawiało się przez cały wieczór w różne gry, a „wizerunki” następujące największą miały powodzenia. Panienska odgadująca zapytuje:

— Czy to osoba historyczna?

— Nie.

— Czy sławna?

— Tak.

— Mężczyzna?

— Nie.

— Aha! to pewnie kobieta — powiada dobrodusznie owa panienska, na co wszyscy wybuchają śmiechem, bo przecież „osoba” nie może być kotem lub kurą. Odgadująca śmieje się wraz z innymi, potem znów pyta:

— Czy żyje jeszcze?

— Nie.

— Czy wsławiła się piórem?

— Tak.

— Czy tylko piórem?

— Nie.

— Aha! więc to była autorka, która oprócz pisania, miała inne zasługi. Po nitce dojdziemy do kłębka. A czy ta autorka pisała dla młodzieży?

— Tak.

— Czy miała własne dzieci?

— Nie.

— Czy zajmowała się sprawami wychowania?

— Tak.

— No, to już tylko dla większej pewności zapytam, czy umarła w kraju?

— Nie.

— Klementyna z Tańskich Hoffmanowa! — zawołała z tryumfem panienska. Z kolei wyszedł studencik, który odpowiedział na pytanie, czy osoba zamyślona nie tylko piórem się wsławiła, gdyż ta odpowiedź rozjaśniła wątpliwości odgadującej, jak sama zaświadczyła. Gdy wrócił po naradzie, znów następowały po sobie takie pytania i odpowiedzi:

— Czy to osoba historyczna?

— Tak.

— Czy mężczyzna?

— Tak.

— Czy więcej jak sto lat minęło od jego śmierci?

— Tak.

— Czy to był panujący?

— Tak.

— Czy wsławił się wojennymi czynami?

— Tak.

— Czy panował w Polsce?

— Tak.

— Czy był z rodu Polakiem?

— Nie.

— Aha! — rzekł studencik i zauważył, kto na to pytanie odpowiedział, ażeby go następcą po sobie mianować. Potem znów pytał:

— Czy ożenił się z królową polską?

— Tak.

— Czy miał dzieci?

— Nie.

— Czy dożył sędziwego wieku?

— Nie.

— Stefan Batory! — wykrzyknął studencik.

Następnie zamyślano różnych sławnych ludzi, aż w końcu dla rozmaitości wybrano nauczycielkę domową, młodą, wesołą i powszechnie lubioną. Ona sama do gry należała, pierwsza też śmiejąc się odpowiedziała na pytanie: „czy to osoba historyczna?” że nie. Potem pytano, czy kobieta, czy dobra, czy młoda, czy zamężna, czy jest ztąd daleko, czy w tym samym pokoju, czy grywa na fortepianie, czy ma czarną suknię i wątpliwości nie trwały długo.

Można także dla zmiany zamyślać „wizerunki” miejscowości, miast, krajów, rzek, umówiwszy się z góry, jakiego rodzaju przedmiot ma być podany do odgadywania.

Ciocia Jania.

SZARADA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Różycki chiński).

Moje *pierwsze* zwierzę leśny, duży, okazały,
Z postaci i z nazwiska znany pospolicie,
Nigdy jednak go wasze oczy nie widziały,
I nigdy, ręczę za to, go nie obaczycie.
Moje *drugie* zwierzątko domowe nieduże,
Każdy z was je zapewne niekiedy widuje,
Miejscem jego pobytu, i strych, i podwórze,
Użyteczne jest ludziom, chociaż nie pracuje.
A *wszystko* pewien hałas, zawsze wywołany
Przez tę samą przyczynę; lecz sprawia wrażenie
Różne na ludziach: bywa pożądanym,
Ale czasem przechodzi w istne utrapienie.

Łamigłówka geograficzna.

(Od Mefistofelesa dla Gołąbki pocztowej).

```

* * * * *
. * . . .
. . * . .
. . . * .
. . . . *
. . . . *
. . . . *
. . . . *
. . . . *
. . . . *

```

Wypisać ośm wyrazów ośmiogłoskowych tak, aby litery, zastępujące gwiazdki, tak w poziomym jak ukośnym kierunku utworzyły nazwę kantonu szwajcarskiego. Znaczenie wyrazów: 1. Kanton szwajcarski. 2. Ocean. 3. Miasteczko w gub. kijowskiej. 4. Miasto w Niemczech. 5. Kraj w Europie. 6. Miejscowość we Włoszech sławiona wielką bitwą. 7. Rezydencja królewska w Hiszpanii. 8. Miasteczko w Galicji.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Homonimów:

P r o m y k.

Zadania konikowego:

Kto się innym niechętnie udziela,
Mieć nie będzie nigdy przyjaciela.
(Myśli Józefa Chmielewskiego).

Krzyża z podstawą:

```

      M
      I
      C
S O K Ó Ł
      I
      E
      W
      N I L
      N I C E A
H I S Z P A N

```

Rebusa:

Głupiec każdy ma o sobie najlepsze mniemanie.

Skrzynka do listów.

Jedlince. Z książek o które jesteście zapytani polecamy: Historię powszechną obszerniejszą Zdanowicza (kosztuje rs. 3 wraz z przesyłką) z dodatkiem „Rysu dziejów nowszych” Maryana Dubieckiego (z przesyłką rs. 2 kop. 20). Zdanowicza również literaturę powszechną skróconą dla dzieci młodszych (rs. 2). Kosmografią Alexandra Timego (kop. 80) i rys dziejów astronomii Mayera w polskim przekładzie pod tytułem: „W krainie gwiazd” (rs. 1 kop. 80 z przesyłką).

Złota Rybka i Jabłuszko rumiane natrafiły na porę, gdy z liścikami jest prawdziwy zawrót głowy. Uczynimy co można dla nowych, kochanych korespondentek.

Panu Piet... w Szawlach. Posłano N-r. 9-ty, gdyż trudno było wyrozumieć, którego brakło. Dodatki dajemy tylko powieściowe.

Mamut, Rusatka, Lucio des E, Lolo z Tamki, Janek z Leszna, Pan Wołodyowski, trafnie odgadli łamigłówki.

Panu Gilewiczowi w Ujściu. Jakkolwiek w tych dziesiętnych próbkach nie nagannego niema, z przyjemnością zadość czyniąc życzeniu Szanownego pana zaświadczyć, że wierszyk z podpisem Anielcia G. nadesłany był pocztą miejską, przez panią inną nazwiska, więc córka pańska nie może być jego autorką.

Szarotka tatrzańska ślicznie wybrała pseudonym. Proza i poezja dobrze rozwiązana.

Czyżyk trafnie odgadł rebus.

Gąska wcale się nie stosuje do swego pseudonimu i bardzo rozsądnie powiada, że niepodobna wszystkim rozdać nagród, chociaż Gołąbka pocztowa pragnęłaby tego.

Przyszły Inżynier zna się widocznie i na poezji, bardzo ładnie ułożył naszą prozę. Za miły i staranny liścik dziękujemy. Siostrzyczkom zasyłamy pozdrowienie serdeczne.

Narcyzowi z Krakowa dziękujemy za rozwiązanie, które już i tak Gołąbka odgadła i zagadka będzie niezadługo wydrukowana. Jutrzenka dawno już nie pisała.

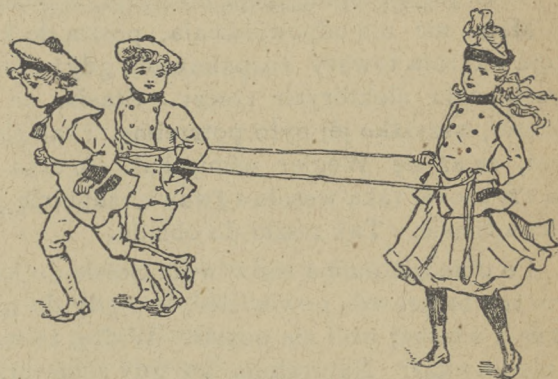
Lipę z Pawłówką upewniamy, że do nas pisywać można bez żadnych szczególnych formalności, jak do kochającej cioci lub babuni. Gołąbka dziękuje za liścik, odpisze osobno.

Stokrotka z nad Warty wybornie rozwiązała prozę i poezję.

Jaskółka z nad Dunaju każdą odezwą swoją prawdziwą przyjemność nam sprawia. Nadesłane wierszyki, zwłaszcza w porównaniu do próbek niezdarnych, które nas zasypują niepowołane poetki, niezaprzeczone mają cechy zdolności. Jest w nich i myśl wzniosła i łatwość wyśłowienia. Lecz forma jeszcze nie wyrobiona, rymy często słabe: raduje, czuje — wzniosłego, młodego. Tacy mistrze jak Asnyk, Deotyma, Konopnicka, nauczyli nas być wybrednymi.

Na kolonie letnie D-ra. Fritsche złożyli: Uczennice pensyi pani Swolynskiej zebrane z odegranej komedijki rs. 3 kop. 50 — Wiochna z pod Lublina rs. 2. — Sokół z nad Narwi rs. 2.

TREŚĆ: Miasto Tugurt w Algerze (z drzew.). — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Czy wiosna wróci? wiersz, p. Gabryelę Jasieńską. — Listy z podróży. — Na rusi p. M. Ziel. — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Gry towarzyskie. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Zgodne rodzeństwo. — Po rozmowie z mamą, p. Bronisławę Porawską. — Ślizgawka, opowiedziała Wiochna z pod Lublina (c. d.). — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy.** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.



Zgodne rodzeństwo.

ZGODNE RODZENSTWO.

W jednym domu jest troje dzieci, siostrzyczka najstarsza i dwóch młodszych braciszków. Miło każdemu patrzeć na te dzieci, takie są grzeczne, tak ślicznie zawsze się bawią razem, bez najmniejszej sprzeczki. Mania na przykład rozkłada na ziemi piękne zabawki, które dostała od babuni, domki małe, drzeweczka, zwierzątka gospodarskie, krówki, owieczki, koniki. Józio i Micio pomagają jej zwykle, ale jak grzecznie! Nigdy żaden nie powie, jak to się czasem innym chłopczykom zdarza:

— Nie tak! Nie umiesz tego, to trzeba inaczej.

Czasem jej poradzą to i owo przestawić, domek przesunąć, owieczki odpędzić troszkę dalej, ale jedynie dlatego, żeby ładniej było. To też Mania zawsze takiej przychylniej rady słucha i sama widzi, że tak jest lepiej.

Jeżeli w ogrodzie bawią się w jazdę, obaj chłopcy zawsze sami zaprzęgają się za konie, a siostrzyczce dają lejce, żeby była stangretem. Mania nie chce być mniej grzeczną od nich i pobiegawszy trochę, woła:

— Teraz ja będę konikiem, a Józio niech powozi.

I znów po kolei Józio i Micio powożą, a zawsze bardzo ostrożnie, nigdy nawet batoga ani pręcika do rąk nie biorą, bo posłusznych koników bić nie potrzeba. Miłe te dzieci są pociechą rodziców i wzorem wszystkich swoich rówieśników. A jak też im z tem dobrze! Nigdy w tym domu nie słychać płaczu, narzekania, skarg jednego na drugiego, zawsze tam wesoło, spokojnie, bo zgodnie.

PO ROZMOWIE Z MAMĄ.

— Stasiu — mówi mama do dziewięcioletniej córki — śpiesz się ze śniadaniem, już od pół godziny powinnaś być przy nauce, czyż nigdy nie zrozumiesz tego, że o dziewiątej masz być przy książce?

— Zaraz, mamusi, zaraz — odpowiada Stasia, zabierając się bardzo wolno do mieszania herbaty, stojąc

przed nią w filiżance i rozglądając się leniwie po stole. Nareszcie upatrzyła sobie jakąś bułkę, równie wolno wzięła ją z koszyczka i położyła przy filiżance, a oparłszy łokieć na stole, zamyśliła się bardzo poważnie.

— Stasiu — rzekła znów mama — proszę cię, jedz już to śniadanie i nie rozpieraj się tak na stole, bo to bardzo nieprzystojnie — i mama wyszła.

Stasia znów zamieszkała w filiżance i zabrała się do jedzenia, ale jak, to doprawdy czy odwracać. A czas płynął i płynął, nie czekając wcale na pannę guzdralską, i oto dziesiąta bije.

Mama wraca ze spiżarni do stołowego pokoju, i ze zdziwieniem spostrzega, że Stasia siedzi jeszcze przy stole.

Tego już było nadto, mama rozgniewała się bardzo i rzekła surowo:

— Słuchaj, Stasiu, ile razy od dzisiaj dnia spóźnisz się na śniadanie, i o dziewiątej nie będziesz już przy nauce, dostaniesz ze sprawowania pałkę.

Pałka! to doprawdy wstyd ogromny, wie o tem każde pilne dziecko, każde, i które ma ambicję, strzeże się tego stopnia wszystkimi siłami. Pałka! to okropnie! Wiem o tem z doświadczenia, jaka to straszna boleść dostać taki upokarzający stopień. Miałam go raz jeden, raz jeden przez życie całe, i dziś jeszcze pamiętam, ile mnie to kosztowało łez i zmartwienia. Ale opowiem to innym razem, teraz wróćmy do Stasi.

Na słowa mamy, zaczęła prędzej trochę poruszać ustami, a że już kończyła trzecią filiżankę, wstała od stołu i poszła wolno do pokoju szkolnego. W pięć minut przychodzi do mamy.

— Proszę mamy, taka jestem chora, głowa mię boli i coś mię ściska.

Mama, zwyczajnie jak każda mama, zaniepokojona o zdrowie dziecka, a nie podejrzewając ani na chwilę, żeby to miało być udanie, wyjęła poduszkę ze swego łóżka i położyła Stasię na kanapce.

— Węgier przyszedł, proszę pani — rzekła wchodząc służąca — czy ma rozpakować towary?

Stasia zerwała się na równe nogi.

— Ach, mamusiu! moja złota, moja kochana, każ niech pakę otworzy — zawołała głosem wesołym i całą rozpromieniona.

— Przecież ty jesteś chora? — rzekła mama, ze zdziwieniem spoglądając na dziewczynkę.

— O! już mi lepiej, moja mamusiu, chodźmy.

Mama nic nie odpowiedziała, poszła do kobiecego pokoju i kazała towary rozpakować, gdyż rzeczywiście potrzebowała niektórych rzeczy. Stasia, na co tylko spojrzała, wszystko jęj było potrzebne, i tak się naprzykrzała, że aż się Węgier uśmiechał. A taka przytem była ożywiona, taka wesoła i żwawa, zupełnie jakby nie ta sama Stasia. Tak zeszło do obiadu.

Po obiedzie mama znów woła Stasię do książki, bo już to trzeba prawdę powiedzieć, że nigdy do niej dziewczynka z własnej woli nie poszła. Widzę, że was to dziwi, nieprawdaż? Naturalnie, bo gdy sobie przypomnieć, że Stasia ma już lat dziewięć, i to skończonych, pewnie wam na myśl przychodzi, że to chyba rzecz niepodobna, aby panienka w tym wieku nie rozumiała potrzeby nauki. Ha! trudno, muszę prawdę powiedzieć, że istotnie Stasia myślała o wszystkim, ale nie o książce.

Gdy więc mama jęj powiedziała, żeby poszła do nauki, rzecz smutna, Stasię znowu zabolęła głowa. Mama spojrzała na dziewczynkę i westchnęła.

— Więc się połóż, moje dziecko — rzekła łagodnie — wierzę ci najzupełniej, że jesteś chora i jak widzę, trzeba się będzie doktora poradzić.

Stasia położyła się na kanapce i przymknęła oczy. Ale bo też i ta kanapka taka była wygodna, miękka, tak dobrze było na niej leżeć, że chart Sokół, ile razy udało mu się dostać na tę ulubioną przez niego kanapkę, wyciągał się na niej rozkosznie, sądząc się bardzo szczęśliwym. Ba, Sokół był znany z tego, że lubił tylko jeść, spać, lub dokazywać z maleńkim pieskiem Lubusiem, którym się bawił, jak piłką.

Bo i co też dziwnego, że Sokół nic nie robił? zwyczajnie pies, niema o czem myśleć, niema przed sobą przyszłości, on całe życie takim samem psem będzie, niech więc sobie prónuje. Wprawdzie ma on czasem pracę gonić zająca, ale sędzę, że jest to raczej dla niego wielką radością uganiać się za biednym szarakiem, więc on i sam za pracę tego nie uważa.

Gdy tak Stasia leży na ulubionej przez Sokoła kanapce, wchodzi do pokoju gospodyni i mówi do mamy:

— Trzeba, proszę pani, jechać na folwark; muszę przebrać drób, który do chowu, a który na kuchnię i na sprzedanie, przysłałam się tylko zapytać, jak tam pani zarządzi.

Stasia w tej chwili stanęła na nogach.

— Mamusiu! — zawołała — ja z gosposią pojadę, moja najdroższa mamusiu!

— Co? taka chora? — zapytała mama.

— Ach! już jestem zdrowa, zupełnie zdrowa, pojadę, moja mamu, moja kochana.

I mama znów przystała na prośbę córki, ale tym razem pokręciła jakoś głową znacząco. Stasia pojechała, wróciła dopiero przed wieczorem i o nauce tego dnia nie było już mowy.

Co na to powiecie, kochani czytelnicy? Na drugi dzień z nauką było znów to samo. Myślicie może, że to są żarty? Tylko że już mama nie uwierzyła w chorobę, wszystkie wybiegi na nic się już nie zdały i panna musiała iść do książki.

Nauka szła krzywo, leniwie, z ciąglem odchodzeniem od stołu, bo Stasia myślała tylko o tem, aby jak najprędzej była dwunasta, a ona uwolniła się od téj szkaradnej pracy. Pamiętajcie, co mama obiecała Stasi, gdy się spóźni do nauki, i pilną nie będzie? I tym razem dotrzymała słowa, a dzienniczek został splamiony okropnym stopniem...

Przed wieczorem mama wzięła dziewczynkę do ogrodu, chodziła z nią długo, bardzo długo, a o czem rozmawiały, nikt nie słyszał. Widziano tylko, jak na skrócie szpeleru Stasia uklękła u nóg mamy, jak objęła jej kolana, a mama ją podniosła, i tuliła w objęciu. Gdy wróciły z ogrodu, zauważono, że Stasia miała czerwone trochę oczy, jakby płakała, ale nikt się temu nie dziwił.

Dziwiono się jednak bardzo przez dni kilka, że Stasia taka żwawa przy śniadaniu, że do nauki nigdy się nie spóźni, a zdrowa taka, jak rybka. A wszystko to stało się po téj rozmowie z mamą, i niejednen był bardzo ciekawy, co mama powiedziała córeczce?

Gdy w parę tygodni potem służąca powiedziała, że Węgier przyszedł, Stasia, która właśnie odchodziła od lekcji, rzekła:

— Niech idzie z Bogiem, szkoda czasu na oglądanie znanych dobrze rzeczy.

Marynka pokręciła głową i powiedziała do gosposi:

— Wydziwić się człowiek nie może, co się z tą panienką zrobiło, teraz nie ta sama.

— To prawda, że nie ta sama — odrzekła gospoia — wczoraj nie chciała jechać na folwark, bo powiedziała, że musi pisać list do jakiejś Kochanej pani do Warszawy. Bóg z nią, żeby aby wytrwała.

Oj! że wytrwa, to wytrwa.

Bronisława Porawska.

ŚLIZGAWKA.

Opowiedziała Wiochna z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

— A tak, więc nie jesteś głodną — mówił dalej ojciec — to może chcesz „ba” śliczne, „caca” „ba”, dam ci zaraz, ale pokochaj tatusia.

Anka w zamyśleniu spoglądała, to na swoją ulubioną zabawkę, „ba”, czyli książkę, dosyć już podartą, ale pełną ślicznych kolorowych obrazków, to na tatusia, bo bardzo nie lubiła całować, a książeczka ją nęciła. W końcu pokusa przemogła, obiema rączkami objęła ojca za szyję i uściśnęła serdecznie, otrzymując w nagrodę ukochane „ba”.

— Pokochaj jeszcze mamusię — rzekła niania.

Ania, uszczęśliwiona posiadaniem książki, uściśnęła teraz bez wahania i wielkich próśb mamę, Marychnę,

Janka, który się trochę skrzywił, nianię, a nawet samo "ba" i odeszła, trzymając swój skarb w zaciśniętej ręczce.

— Marychno — rzekła mama po odejściu Ani — czemu nic nie jesz, moje dziecko?

— Nie jestem głodna, mamusiu.

— Napij się chociaż czystej herbaty z cytryną.

— Nie mam ochoty, wolę wodę.

— Masz widocznie gorączkę, ztąd pragnienie, ale zimna woda mogłaby ci zaszkodzić.

— Naturalnie — zauważył ojciec — najlepiej zrób, jak ci radzę, przymuś się do wypicia duszkiem herbaty, a potem połóż się zaraz. Ale powiedz mi, zkad ci przyszła myśl obwiązania głowy chustką?

— Tak mi lepij, tatusiu.

— Co to może pomódz — rzekł ojciec — a czy nie zaziębiłaś się czasem na ślizgawce? — dodał po chwili.

Milczący dotąd i cały zajęty jedzeniem Janek, podniósł głowę od talerza na wzmiankę o ślizgawce.

— A! Marychna — powiedział zdziwiony — czemuż się nie przyznasz, żeś upadła kilka razy na lodzie i z tego chorujesz? Czy się wstydzisz, żeś taka niezgrabna?

— Nic w tem niema złego, córeczko, nauczysz się powoli — rzekła mama — nie przypuszczam jednak, żeby to było przyczyną bólu głowy.

— Kto wie, jeżeli się bardzo stłukła — odparł ojciec — ale czyż nie było z tobą twego rycerza Janka, do podtrzymywania w razie upadku i obrony w każdym niebezpieczeństwie?

— Sama dziś byłam, tatusiu — szepnęła Marychna nieśmiało, podczas gdy brat jej, zarumieniony cały, żywo wstał od stołu, odwracając się od światła, dla ukrycia pomieszanego. Teraz dopiero poznał, jak niezręcznie postępował, zwracając rozmowę na przedmiot tak niebezpieczny dla niego, jak dzisiejsza ślizgawka, a tak starannie dotąd dunikany przez siostrę. Domyślając się badania, postanowił w śpiesznym wycofaniu się szukać obrony i ci chutko wysuwał się do przyległego pokoju, ale właśnie to pomieszczenie wydało go, ojciec zauważył je i surowo spojrzał na chłopca:

— Nie uciekaj, Janku — rzekł — dla czego Marychna sama się ślizgała?

— Idę po książkę do mego pokoju.

— Nic pilnego, później przyniesiesz, a teraz zbliż się tu do mnie i odpowiadaj na pytania. Czy znowu były jakie sprzeczki między wami?

— Ależ nie, nie, tatusiu — odparła żywo Marychna — to moja wina, że poszłam sama, pomimo zakazu.

— Rozumiem, co cię do tego skłoniło: Janek nie chciał cię zabrać z sobą, poszłaś więc sama, aby w razie zapytania z naszej strony nie skłamać, ani oskarżyć brata; czyż nie tak było, córeczko?

Marychna zawahała się z odpowiedzią.

— Tatusiu, ja nawet nie prosiłam Janka, żeby mię zabrał na ślizgawkę — szepnęła wreszcie nieśmiało.

— Janek sam powinien wiedzieć, co do niego należy — rzekł ojciec surowo — zresztą nie tłómacz go już, Marychno, domyślam się tego, czego mi nie chcecie powiedzieć, on z obawy, ty z dobrego serca; i za karę nie-

posłuszeństwa zakazuję Jankowi przez dwa dni używania ślizgawki i towarzystwa uczniów.

(d. c. n.)

Łamigłówka kryształowa (Kanarek).

1. Spółgłoska.
2. Roślina.
3. Ptak domowy.
4. Ptak leśny.
5. Miasto w Niemczech.
6.
7. Miasteczko w kraju naszym.
8. Rzemieślnik.
9. Ciecz tłusta.
10. Wykrzyknik.
11. Spółgłoska.

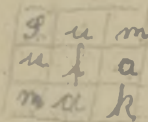
Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko historyka polskiego.

Łamigłówka w kwadraciku.

(Dla Gucia z Wierzbicy od Jaskółki z nad Czarnego morza).

~~2~~ ~~A~~ — ~~1~~ ~~F~~ — ~~1~~ ~~K~~ — ~~2~~ ~~M~~ — ~~1~~ ~~S~~ — ~~2~~ ~~N~~ — ułożyć w kwadraciku z 9 podziałek, aby odczytać w obu kierunkach: 1. Rybę. 2. Rzekę w Rosyi. 3. Roślinę.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 14-go.



Łamigłówki kryształowej:

D
L E N
P I O T R
D E O T Y M A
S Z Y N Y
Ć M A
A

Skrzynka do listów.

Mazur z nad Dunaju bardzo porządnie pisze, radzi jesteśmy bardzo temu nowemu korespondentowi. Łamigłówkę wydrukujemy, ale nie zaraz, bo mnóstwo czeka kolei.

Brzózce i Śmieszce dziękujemy za ciekawe szczegóły w listach. Nie dziwimy się Śmieszce, że się bała szalejących derwiszów, gdy w Salonice mieszkała; muszą doprawdy okropnie wyglądać. Prosimy bardzo o wiadomości z podróży, gdy Śmieszka wyruszy do Azji; zajmą one pewnie wszystkich czytelników naszych, do Azji mało kto podróżuje.

Czarnuszka z Mroczkowa odezwała się przecież po długim milczeniu, a jaką osobiłszą (choć bardzo czytelną i porządną) kaligrafią Czarnuszka pisze! Nie możemy sobie przypomnieć owego listu i nie wiemy, co się z nim stało. Firletka kochana i nas obdarzyła nową fotografią z roztrzęsioną czupryną; bardzo zabawnie na nią wygląda.

Don Carlos przekonał nas zupełnie i dziękujemy mu, chociaż to smutne odkrycie. Łamigłówek umieścimy.

Złota Elżunia w łamigłówek dwukrotnie zastąpiła wyrazy literami bez znaczenia; my takich nie drukujemy, zupełnie dobrych pomieścić nawet trudno.

Fiołeczek z nad Wisły może śmiało do konkursu należeć, wszakże odpowiedź będzie napisana przed dniem urodzin.

Delfinowi dziękuję za miłą odezwę Gołąbka pocztowa, odpowie osobno.

H. P. z tym podpisem zagadka ma także litery zamiast wyrazów, co jest ułatwieniem zabronionem.

Heliotropie szanowny! Co to znaczy, że szarada Karpaty z malutką odmianą była w r. 1886 drukowana w „W. R.”? To odebrało nam zaufanie do innych zagadek. Czy to ładnie wprowadzać w błąd redakcyę, przysyłając za swoje szarady przepisane z dawnych roczników?

Ślepowron i Duch puszczy mogą przysłać łamigłówki, byle cierpliwie czekać chcieli, aż się miejsce na nie znajdzie i byle... nie przepisywali ich z dawnych roczników.

Wiosna trafnie rozwiązała zagadki. O, Wiosenko miła, dajże nam już prędkiej ciepło i pogodę.

Moje Drogie: Ukrainko Westalko, Jaskółko z nad Sekwany, Stokrotko z nad Granicy, Mazurko z nad Narwi, Radziwianko i Lewkonio! Z korespondencji z tobą luba Ukrainko jestem dumna. Nie spodziewałam się, by tak sędziwa osóбка jak ty zechciała do mnie napisać. Miła Westalko, odpowiadam ci na pytania. Ślizgać się lubię, a tańczyć bardzo, a czy z przyjemnością czytam nasze „W. R.” oto i pytać się nie trzeba; czytanie ich to największa rozkosz. Na fortepianie nie gram, lecz muzykę lubię, konno nie jeżdżę. Luba Jaskółeczko, przyslij mi opis swęj postaci, bardzo o to proszę. Droga Stokrotko, donieś mi co więcej o sobie, o mnie wiesz, jeżeli zaglądasz do „Skrzynki”. Kochana Mazureczko, z największą przyjemnością będę korespondowała z tobą. Czy masz rodzeństwo? I ja, luba Radziwianko, lubię gospodarstwo wiejskie; czy znasz wieś? bo ja doskonale. Żałuję cię mocno, miła Lewkonijko, że nie znasz przyjemności wiejskich; czy masz rodzeństwo? Ach jakież długi list!! Czekam odpowiedzi Stokrotka z nad Stochodu.

Kochany Olutku! Chociaż twoja mamusia często pisuje do mojej, jednak chciałabym bardzo odebrać liścik od ciebie samego. Tyle pięknych rzeczy widzisz w Arko, o których my nie mamy nawet wyobrażenia, że miałbyś o czem pisać. Zazdroszczę ci tych wszystkich ślicznych widoków, a także i tego, że tak tam ciepło i zielono, podczas kiedy my jeszcze nie możemy doczekać się wiosny. Napisz, czy tęsknisz za nami? Nam okropnie smutno bez ciebie i cioci; nadchodzą Święta, kiedy zawsze do nas przyjeżdżałeś, a teraz tak daleko będziemy od siebie! Czy jeździłeś do Weroni? Sąsiadki nasze, o które się pytasz, mają pseudonimy Kanarek i Synogarlica. Kochające cię i czekające odpowiedzi Rumiane Jabłuszko.

Kochana Jesieni! Dziękuję ci za twą odezwę i zaliczenie mię do najstarszej trójki czytelniczek Wieczorów, w której ja znowu jestem najstarszym członkiem. „Nasze Pisemko” czytuję już dziesiąty rok, z czego możesz brać miarę mego sędziwego wieku, chociaż, jeżeli mię przecucie nie myli, jesteśmy dawne znajome i wiemy dobrze wszystko, ty o mnie a ja o tobie. Napisz mi, czy rzeczywiście mam słusność i czy odgađam cię pod tajemniczym mianem Jesieni? W przeciwnym razie, jeżeli nie jesteś tą, za którą cię biorę, donieś mi co o sobie, a ja ci chętnie i niedługo odpiszę. Zaciekawiona Wiochna.

Dla braku miejsca z żalem wielkim musimy wspomnieć tylko, że pisały oprócz tego: Złota Rybka do Rezedki — Biała Lilia do Gwiazdy północnej — Palma do Królowny Salin — Kulka Śniegowa do Jedlinki i Dumki — Gwiazda północna do Litwinki z nad Berezynki — Mrówka z nad Warty do Biedronki warszawskiej — Niezapominajka z nad Warty do Gałązki Heliotropu — Świtezianka do Czeskiej Niezabudki — Jedlinka do Amaty — Stokrotka różowa do Mewy — Kometa do Wiejskiej Dzieweczki — Sasanka z Mazowieckich lasów do Stokrotki z nad Pilicy i Kaliny z nad Węgielki — Rybka z Warty do Poranka majowego — Rusalka do

Różyczki białej — Nieznajomy do Kameleona — Westalka, Cyganeczka z nad Wisły i Śmietanka do Wiercipięty i jego rodzeństwa.

(Z mnóstwa nadesłanych liścików Gołąbka Pocztowa z zamkniętymi oczami, na los szczęścia, wybrała część do druku).

Kochana Łezko z nad Lutyni! Dziękuję ci za liścik, sprawił mi on prawdziwą niespodziankę. Ja także znam cię bardzo dobrze i domyślam się kim jesteś. Czemuś sobie taki pseudonym obrała? Sądząc z niego, musisz mieć wielką skłonność do łez. Czy druga twoja siostrzyczka sobie pseudonimu nie obrała? bo mi nic o tem nie piszesz. Zdaje mi się, iż Szarotka jest Stasia, czy się nie mylę? Namów ją, aby należała do konkursów, gdyż wiem, iż bardzo ładnie pisze wypracowania, a z 15 rokiem „klamka na nie zapada”. Nieprawdaż, iż ostatnie zadanie było bardzo dobre i pożyteczne? Ściskam cię serdecznie. Pseudonym mój zmieniłam nie na Szatynkę, lecz na Filaretkę. Jaskółkę z nad Sekwany, Ukraince na Mazowszu i Cyganeczce z nad Wisły przesyła szczere pozdrowienia, Filaretka.

Droga Wiosno! Z całą przyjemnością będę z tobą korespondowała, chociaż zdaje mi się, że gdybyś domyśliła się kto ja jestem, to wolałabyś korespondować z moją siostrą, Wieżą Eiffel. Namów Manię, żeby mi koniecznie na list odpisała, niechże sobie wybierze pseudonym i raz już zacznie pisywać. Nie masz pojęcia, jak mnie twój list rozśmieszył, później zrozumiesz dla czego. Znamy się tak dawno, droga Wiosno, że śmiało mogę cię uściskać. Dziękuję na pół Mazowieckich.

Kochany Pegazie! Zdziwił się zapewne, zobaczywszy mój list. Zgadnij kto jestem? Nazywam się Stefan S. Widzieliśmy się u Heliotropa. Czekam odpowiedzi. Życzliwy Ślepowron.

Kochana Ziuniu P. Wiedząc, że czytujesz „W. R.”, postanowiłam choć parę słów napisać do ciebie. Pomimo, że cię bardzo mało znam, a twego braciszka Czesia tylko z opowiadania, jednak do was obojga czuję niewymowną sympatyę. Całuję was serdecznie i zapytuję zazaz, czy domyślicie się, kto jest przyjazna wam Wiosna?

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Pisałam już raz do ciebie, ale redakcyja nie wydrukowała, bo posłałam na raz dwa listy. Nie wiem dla czego mam chęć dawno do ciebie napisać. Dopieroż to ładnych rzeczy napatrzysz się w Paryżu! Czy byłaś w Luwrze, a na polach Elizyjskich? Napisz mi, czy tam bardzo ładnie. Mnie na imię Kazia, mam 11-cie lat. Napisz co do mnie, a będę szczególnie. Czarnuszka z Mroczkowa.

(Jaskółka już nieraz donosiła, że jest dorosłą panienką i ma imię Julcia. przyp. red.)

Kochana moja Szara Kotko z nad Chomoru! Dziękuję ci, moja Koteczko, za liścik, sprawił mi on tem większą przyjemność, że go tak długo oczekiwałam. Ja mam imię czwartej żony Władysława Jageilly i trzyletnią siostrzyczkę. Przyjm serdeczne pozdrowienie od Białej Chmurki.

Kochany Ogrodniku! Wiem kto ty jesteś. Na imię ci jest Leon. Czy tak? Twój Czyżyk.

Kochane moje Westalko i Cyganeczko! Pocziwie z was dziewczęta, że nie zapominacie o dawniej towarzysze wspólnych zabaw i figlów, i tak prędko odpisujecie na każdy mój list. Z listu waszego widzę, że nie zobaczymy się prędko, ponieważ nie bywacie w naszych stronach. Nie wiecie może, że ta dawna roztrzępana Cela z Nałęczowa, co tyle dokazywała na gymnastyce i przechadzach, stała się teraz nadzwyczaj poważną osobą, małowówną, najczęściej milczącą i głęboko zamysloną. Nie wiem, jakbyśmy się teraz zgodziły z kozakiem Marteczką, bo co Westalka, ta zawsze wstrzymywała zapędy naszej swawoli. Piszcie do mnie często i donosicie o wszystkim, co was dotyczy, życzliwej Wiochnie.

Kochana Kapryśna Jedynaczko! Czytując co tydzień korespondencyą Wieczorów Rodzinnych, chciałabym i ja przyłączyć się do grona korespondentek, a że czuję do ciebie wielką sympatyę, więc ten pierwszy mój list piszę do Kapryśnej Jedynaczki. Mam lat 14, jestem sama dosyć kapryśna. Obecnie będę się uczyła w domu, poprzednio chodziłam na pensyę. Odpisz mi prędko, twój Fiołeczek z nad Wisły.